Lwów, 26. Grudnia. Nr 154. Rok 1854.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

## Z ŻYCIA AKTORA POLSKIEGO.

(Dokończenie).

Biedny Jan zchudł, zmizerniał, i czekał tylko na koniec miesiąca, aby gażę odebrać, i uciec co rychlej z pod patriarchalnej opieki pana Makarego. Przyszedł nareszcie ten gorąco oczekiwany ostatni. Po wieczornem widowisku zeszli się wszyscy aktorowie i aktorki do pomieszkania pana dyrektora, który przyjął ich czulej niż zwykle, nader popularnie, po ojcowsku prawie.

— Moje dzieci przystąpimy do rachunku, bo u mnie akuratność i uczciwość idzie nad wszystko. Ale pierwej napijemy się ponczyku.

Aktorowie i aktorki ze spuszczonemi nosami przystąpili do ponczyku; ale ponczyk był niezły, robiony i podawany przez pannę Józefę, której oczy piękne świecące w około, nowej dodawały przyjemności temu wieczorkowi, i niejednego upoiły mocniej od ponczu.

— Nie taki przecie diabeł straszny jak go malują! mówił Jan sam do siebie, nie mogąc pojąć tych wszystkich twarz przeciągniętych.

Szklaneczka następowała po szklaneczce, humor się poprawiał, stawał się nawet pustym i wesołym; wszystkie twarze rozjaśniały się mimowolnie.

— Bawcie się, i pijcie moje dzieci — powtarzał pan Makary zacierając ręce, i uśmiechnął się a oczkami strzelał po wszystkich, z wyrazem który przypominał nieco wzrok bazyliszka magnetycznie pociągający.

Gdy już wszyscy byli pod dobrą datą, panna Józefa przystawiła stolik, i podała karty.

— Ot chyba zagramy sobie dla przepędzenia czasu...

— Ależ ja nie umiem! ozwali sią niektórzy dawniejsi których widok kart trzeźwić zaczynał.

— Halberzwölwe! to bardzo pojedyńcza i łatwa gra!

— Ja nie umiem grać, ja nie będę grać! zawołał Jan, ja niemam pieniędzy.

— To nic nie szkodzi! odrzekł pan dyrektor... Ale dajże no moja Juziu ponczyku panu Janowi. Na co pieniędzy! mówił dalej; mamy marki.

Ponczyk podany w tej chwili był jeszcze lepszy i jeszcze mocniejszy, a oczy pani Józefy jeszcze żywiej świeciły; humor był wesoły, halberdwölfe nie trudne, a dyrektor tak luby i czuły, że niegodziło się jakoś odmawiać mu. A więc zasiedli wszyscy do gry, popijając ponczyk coraz mocniejszy, i upajając się urokiem czarnych oczów coraz ognistszym. Pan Makary dawał bank, mieszał karty z dziwną zgrabnością, wyciągał karty z zadziwiającą szybkością, i ciągle uśmiechał się słodziutko, a patrzał magnetycznym i coraz więcej iskrzącym się wzrokiem, na swoich podwładnych i leżące przed niemi marki. I marki przesuwały się z fatalną szybkością do miseczki pana dyrektora. Zgrani żądali więcej marków; podano im je do pewnej ilości, której pan Makary przekroczyć nie dawał...

— Nie trzeba się zapalać w grze, mówił po ojcowsku do zgranych.

Czasem tylko wyższy pozwalał kredyt aktorkom i to naturalnie mając wzgląd na tę część talentu którą w aktorce cenił najwięcej.

Panna Józefa krupierowała tak zgrabnie, jak zgrabnie pan Makary mieszał i karty wyciągał; za godzinę wszystkie marki przeszły do pana dyrektora; całe grono artystów było zgrane i spite należycie.

— Czas już spocząć, moje dzieci, ozwał się pan Makary; ale naprzód przystąpmy do wypłaty gaży, odtrąciwszy różnicę gry.

Rachunek był jasny i czysty. Nikomu się nic nie należało; wszyscy odeszli jak zmyci by przespać przyjemność tego wieczora. Tym sposobem członkowie trupy pana Makarego, nie mogli się zepsuć rozrywkami tyle podług niego aktorowi szkodliwemi.

Biedny Jan zbudziwszy się, zaczął przeklinać i dyrektora i siebie. On się cieszył że będzie mógł posłać co matce. Co tu robić, kusa rada!

Szczęściem przypomniał sobie, że mu ojciec chrzestny darował pare staroświeckich sprzączek z kamykami. Przedał więc je, większą połowę ceny posłał matce, a sam puścił się z maleńką resztą w dalszą podróż.

— Wszystkie prawie miasteczka polskie odwiedziłem z rozmaitemi towarzystwami; kończył Jan opowiadanie swoje; różnych doznałem kolei, i przekonałem się że powodzenie i teatru samego i członków, zależy głównie od dyrekcyi teatralnych. Ciekawe w tej mierze mógłbym opowiedzieć szczegóły, lecz już poźno i nie wiele panu z tego przyjdzie. Dostałem się w reszcie do Żytomierza. Tu mnie się nie źle powodziło, nabrałem przez ten czas więcej rutyny, i chociaż nie przypisuję sobie znakomitych talentów, publiczność lubiła mnie dosyć. Spro-

wadziłem biedną matkę która tęskniła za mną, poznałem się z Zosią.... i teraz puszczam się na nową wędrówkę.

Dla czegóż porzucasz Żytomierz, w którym jak sam twierdzisz dobrze ci się powodziło?

— Niewiem czy pan wierzy w przeznaczenie; ja wierzę w nie i przekonany jestem że ów pan Makary którego poznałem w Lublinie jest moją na tym świecie fatalnością. Wczasie wędrówek moich zdybywałem go razy kilka, i zawsze zdybało mnie wówczas jakieś nieszczęście. Owoż przed kilku miesiącami nastała w Żytomierzu zmiana dyrekcyi, i pan Makary został naszym dyrektorem. Uciekam więc dalej.

— A drudzy?

— Jednych wygoniło także Makarego postępowanie, a drudzy przyłączyli się przez zwykłą naszemu stanowi niespokojność, która niepozwala nam długo zagrzać jednego miejsca, do Krzemieńca, gdzie się nowe zbiera towarzystwo.

Xiężyc już zaszedł, i pierwszy zaświecił brzask jutrzenki, gdyśmy weszli do karczmy. Za godzin parę pożegnaliśmy się wszyscy, nie bez scen tragicznych ze strony pani hrabiny, którą odwiozłem do miasta.

Długi czas tkwił mi w pamięci ten epizod życia mego, lecz jak wszystkie myśli i uczucia ludzkie, zacierał się pomału, tak że gdy w lat kilkanaście później tą samą drogą wjeżdżałem do Żytomierza, chłodną ledwie pamiątką przywitałem ową karczmę w której przepędziłem noc całą, z Janem, Zosią i całem tem aktorów gronem. Miałem zimować w Żytomierzu, oglądnąłem się zatem za wszelkiemi zabawami, jakie mi przez zimę to niewielkie miasto nastręczyć może. Jedno z pierwszych moich pytań do żydowskiego Miszuresa było?

— Czy jest teatr polski?

— Aj waj! duże śliczny teatr. Same nowe i kapitalne aktory grają, a jakie aktorki. Achesmir. Nowy dyrektorz stara się o same przystojne aktorki, i wun ma w tem wielki i delikatny rozum.

Wyszedłem na miasto i przekonałem się że nie oszukał mnie żydek. Na pierwszym bowiem rogu, przylepiony był olbrzymi afisz czerwonemi jak palec długiemi drukowany literami. Myślę sobie, pewnie nowa sztuka! Czytam tytuł starej jak świat sztuki, z dodatkiem przymiotnika: *wznowiona*.

— Szarlatanerya! pomyślałem sobie, i westchnąłem na myśl, że bez pewnej porcyi tej szarlataneryi nie można się obejść w świecie.

Lecz przekonałem się że i zbytek onej staje się na końcu nieznośnym, jak to nam dowodziła codzień dyrekcya teatru żytomierskiego. Codzień afisze były ogromne, codzień innej barwy, codzień byczemi drukowane literami, i co dzień prawie stare dramata i komedye przeklepane należycie, z tym dodatkiem: *wznowiona*, mającym niby wzbudzać ciekawość, i ściągać widzów. Dobór sztuk odpowiadał zupełnie tej szarlataneryi. Niedosyć że grywano same stare sztuki, ale z pomiędzy starych wybierano najgorsze, mianowicie dostrzegłem wielkie dyrekcyi upodobanie w sztukach rozbójniczych. Co niedziela walono jakichsić sławnych i niesławnych rozbójników ze wszystkich stron świata; zdawało się prawdziwie, że dyrekcya robi taki wybór, dla jakiej kalabryjskiej publiczności, w epizodach rozbójniczych zamiłowanej. Oczywiście w takich sztukach, sensu niema wiele, jeno huku, puku i strzelania, a już co sensu moralnego, któryby wpływał na publiczność, co właściwie jest głównem sztuki dramatycznej zadaniem, to wcale nie było, lub był najgorszy. Bywając w teatrze nieraz przekonałem się, że dyrekcyi zupełnie nie szło o sztukę, która haniebnie była poniewieraną. Dyrekcya widocznie uważała publiczność za dojną krówkę, i biedna publiczność dawała się doić, nie przez głupotę, ale przez poczciwe zamiłowanie w językn ojczystym, który chciano słyszeć choć przez parę godzin wieczornych. I na jakąż nazwę zasługuje w takim razie dyrekcya teatru, która z tak szlachetnych pobudek korzysta dla własnych brudnych zysków i poczciwej publiczności odpłaca się każeniem sztuki i zabijaniem sceny.

— Któż jest dyrektorem teatru? zapytałem raz sąsiada mego w teatrze.

— Niejaki pan Makary.

Zrazu nieuderzyło mnie to nazwisko, lecz gdy wyszedłem a teatru, zacząłem sobie przypominać i przypomniałem rzeczywiście cały ów epizod i opowiadanie Jana.

— Może i on tu jest! pomyślałem, lecz nie wiedziałem jak się dowiedzieć, bo nie znałem tylko imię jego.

Zamyślony wszedłem do cukierni, by niesmak z teatru wyniesiony zabić trunkiem dobrym. Pusto było w cukierni; sam tylko jegomość jakiś siedział w kącie i czytał gazetę. Twarz miał poczciwą, ale były na niej ślady nie tyle wieku ile rozmaitych przykrych zapewne przejść życia, które niestartym wkopują się śladem na twarzy ludzkiej. Mimowolnie patrzałem na niego z pewnem zajęciem, choć go widocznie nie znałem. Lecz i on spoglądał ku mnie razy kilka z pewną ciekawością. I gdy się tak skrzyżowały spojrzenia nasze, krzyknęliśmy na raz obydwa. Poznałem owego Jasia młodego jeszcze przed laty kilkunastu, kochanka Zosi, któremu tak szczerze wówczas zazdrościłem, a co najwięcej przypomniałem sobie owe lata moje młode, z całym skarbem swych najpiękniejszych złudzeń.

Przywitaliśmy się oba westchnieniem, puszczonem zapewne za tem co minęło, i czego żadna już siła wrócić nie może.

— Więc znowu w Żytomierzu? spytałem go.

— Znowu! odrzekł, i znowu pod dyrekcyą pana Makarego, który stał się dla mnie wyraźnym prześladowaniem losu.

— A matka twoja żyje? zapytałem.

— Żyje biedna staruszka. Odwiedź mnie pan jutro.

Nazajutrz odwiedziłem go. Mieszkał w lichej chacie przedmiejskiej. Przyjął mnie serdecznie, i zaprowadził do drugiej izby. W kącie siedziała osiemdziesiątletnia staruszka, ślepa zupełnie, aż przykro było patrzyć na nią. Słysząc szmer jakiś, podniosła się, i zrobiła kilka kroków oparta na szczudłach. Ślepa i kulawa!

— Patrz pan to moje przecie jedyne szczęście na tej ziemi. Oślepła biedaczka ze starości i z płaczu, bo niemiałem nigdy wielkiego powodzenia. Nie dosyć na tem, przed kilką miesiącami, wieszając coś na ścianie, upadła z krzesła i nogę złamała. I wyobraź pan sobie, sama jedna bez pomocy, leżała na ziemi półtrupem; to był wieczór, ja grałem w teatrze: szczęściem Sznaps był przy niej.

— Sznaps żyje?

— Patrz pan!

Za krzesłem staruszki na starym sienniczku, leżało biedne chude psisko; ślepy i głuchy już, instynktem tylko czuł bytność swego pana, i omdlałym ruchem ogona radość swą okazywał.

— Póty wył biedak przy bezprzytomnej matce mojej, póki nienadeszli sąsiedzi; podnieśli ją i posłali po mnie. Ja właśnie występowałem w tej chwili na scenę, i musiałem grać rolę komiczną, musiałem śmiać się a łzy, piekące łzy, padały mi na serce. To była okropna chwila; reszta włosów posiwiała mi na zmęczonej głowie. Pobiegłem do domu i cztery miesiące musiałem pielęgnować biedną staruszkę, i niemniej przeto co wieczór, z bólem i rozpaczą w sercu występować w teatrze. To można oszaleć.

— Drogi Jasiu! ozwała się staruszka słabym głosem, i ślepe oczy zabłysły dwoma łzami.

— Otóż to dla niej! mówił Jan dalej, znoszę wszystko, bo gdybym stracił moją posadę, cóż ta biedna staruszka zrobi bezemnie. Póki byłem młody, ufałem w własne siły i rzucałem się w świat odważnie. Dziś stary nie wierzę już moim siłom, własnemu nieufam talentowi. A nadgroda! kij żebraczy może! Taki to los artystów u nas!

Przykro, serdecznie przykro mi się zrobiło; i chcąc myśl odciągnąć od tego smutnego obrazu, zacząłem się oglądać, jak bym szukał czego. Nieśmiałem go zapytać, lecz on odgadł myśli moje.

— Gdzie ona? gdzie Zosia? chcesz pan pytać, przemówił z gorzkim uśmiechem. Ja jej nieporzuciłem.

— A więc ona?

— Aż do Krzemieńca była mi wierną. Pamiętasz pan ową noc, jak odchodząc mówiła, kocham, kocham, kocham!

— Pamiętam jakby dzisiaj!

— Mało co dłużej trwała jej miłość od ostatniego echa tego słowa.

— I cóż się z nią stało?

— Co się z wszystkiem dzieje na świecie, co z kwiatem, co z człowiekiem! Patrz pan na moją siwą głowę, patrz pan na siebie samego! czyliż nie pojmiesz i niewyobrazisz sobie, co się dziś dziać może z tą śliczną, świeżą Zosią.

— I nie zdybałeś jej odtąd nigdy?

— Raz tylko!... jechała powozem; i uśmiechnęła się do mnie bardzo uprzejmie.

Smutny wyszedłem z ubogiej chatki. W kilka dni wypadło mi niespodzianie wyjechać z Żytomierza, i udać się musiałem w zupełnie inne strony, na Litwę. Jadąc raz w w zimie zdybuję w drodze jakiegoś podróżnego, w lekkim surduciku i w podartem obuwiu, idącego ku Wilnie. Litość mię wzięła nad biedakiem, mróz był kilkunasto stopniowy.

— A dokąd to idziecie, zapytałem, zamyślając podróżnego wziąć do sanek i otulić od zimna.

— Do Wilna, panie!

— A z daleka?

— Z Żytomierza.

Nazwisko tego miasta i dźwięk głosu gdzieś mi znajomego spowodowały mię, iż bliżej wpatrzyłem się w podróżnego. Na Boga! To mój dawny znajomy, to Jan!

Otuliwszy go jak mogłem w sankach, wstąpiłem z nim do najbliższej karczmy, bo biedny Jan był głodny i skośniały od zimna. Tu mi opowiedział iż pan Makary oddalił go od teatru Żytomirskiego, w chwili gdy był bez grosza, a oddalił za jakieś niby uchybienie na próbie gospodyni jego domu. Jan ślepą staruszkę matkę musiał umieścić w szpitalu tymczasowo, a sam z wiernym pieskiem w śród tęgiej zimy wędrować, o żebranym prawie chlebie, do Wilna i szukać tam nowego utrzymania.

Oto jest los aktorów polskich! —

---

## BŁOGOSŁAWIONA.

(Dokończenie.)

I święte pańskie dalej ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Po dródze nieraz wznosząc paluszek
To na obłoczki z dziecięcych duszek,
To na aniołów twarze pogodne,
Spieszących lilje okrywać wodne,
Taką tkaneczką w niebiosach tkaną.
Jak najpiękniejszą zorzą rumianą.
I drugie, które z srebrnych przetaków,
Biegły rozrzucać ziarnka dla ptaków,
Jeden się żywem światłem przesłonił,
Gdy na odwieczerz dziadek zadzwonił;
Inny z kotewką wiszącą, krzywą,
Leciał na wielką wodę burzliwą;
A jeden robił z srebrnych włókienek,

Płótno na suknie świętych panienek,
A jeden zwijał na tęcze paski,
A jeden zbierał na kółka blaski. —

Szczęśliwa dusza idąc pod ręce
Ku przenajświętszej matce panience,
Myślała sobie, czyby nie trzeba,
Prosić o więcej królowej nieba;
Za moim chłopcem toć to za mało,
Za panią naszą teżby się zdało,
Za panem naszym co go zawiało.
Aż tu jak gdyby z pod ziemi, z niska,
Jak para głos się wdzięczny przeciska....
Szczęśliwa pilnie ucho przykłada,
A to pan z panią podzięki składa;
Więc się duszyczka wejrzy na świętą,
A ta z twarzyczką tak uśmiechniętą,
Jak się to zdarza, gdy chcemy komu,
Oznajmić wielkie wesele w domu.
Patrzy się na nią i słówka cyka:
— Pokora twoja niebo przenika,
Jakeś prosiła, tak się i stało,
Wszystko tu jedno, dużo czy mało. —

I święte panny dalej ją wiodą.
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie jak im dziękować,
Czyby nóżeczki święte całować,
Czy koniec długiej liljowej szaty,
Świętej Barbary i Małgorzaty.

A święte mówią: jeszcze to nie to,
Co ujrzysz dalej dobra kobieto;
Widzisz tę jasną, grającą zorzę,
Tam ci pokażem skarbnice boże.

Idzie i klucznik — prosże klucznika,
To poprowadzi i poodmyka.
— O z miłą chęcią święty odrzeka.
Niechże tu siostra chwilkę poczeka.
I zaszedł w zorzę jak boże słońce,
Kiedy na ziemię schodzi świecące.

Aż ci po chwili, o łasko boża,
Pocznie grać cudnie rumiana zorza,
Ale to taka słodka kapela,
Jak gdy z daleka jadą wesela,
I ledwie słychać skrzypeczne brzęki,
Jakieś ci głosy, jakieś piosenki,
Niby słyszane i niesłyszane,
Jakby na ciszę wiejską rozwiane,
Coś jakby pszczoły lecące z miodem,
Coś jakby strumień, co szemrze spodem,
Coś jakby wietrzyk, co w krzaki dmucha,
Coś jakby słodkie słówko do ucha,
Cos jakby dźwięczny z kaplicy dzwonek,
Kiedy się ledwie rozbrzyga dzionek,
I pociemniałe oświeca krzaki,
Gdzie zmokłe rosą budzą się ptaki.
Szczęśliwa słucha i zadumana,
Pochyla czoło, zgina kolana,
I jak porzeczna, cicha lilija,
Woń niebios wieje *Zdrowaś Marya.*

*Zdrowaś Maryo, Panno, Pan z tobą,*
. . . . . . . . . . . . .
. , . . . . . . . . . . .
Spojrzy i widzi cuda przed sobą.

Na wyrabianej srebrzystej tacy,
Leży kłos złoty rolnika pracy;
Jak brylantowa gwiazda niebieska,
Nawróconego grzesznika łezka,
Na boku puklerz jak miesiąc leży,
Który zasłaniał biednych pasterzy,
I dla miłości żywego Boga,
Bronił samego wroga od wroga;
Dalej jak młyński kamień ze złota
Grosz, który dała biedna sierota;
A nad tem wszystkiem i któż wypowie,
Co podnaszają dwaj aniołowie:
Jak oni święci stoją schyleni,
Nad tą koroną z strasznych promieni,
Przenikających bardziej niż słońce,
Najdalsze świata bożego końce,
Tak że nie można patrzeć się blisko,
Na to miłości bożej ognisko,
A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni,
Korona boża z okrutnych cierni;
A nad nią wyżej w powietrza fali,
Krżyż pański niosą przeczyści biali,
Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,
Taki ogromny, a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może.

Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała,
— A cóż ja panie dla ciebie dała?...
A święty klucznik wskazał jej zdala,
Maleńkie serce jakby z korala;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie,
I ta, co ziemskie życie ozłaca,
Nieustająca, spokojna praca. —

I dalej wiodły ją święte boże,
Nad przezroczyste niebieskie morze,
A nad tem morzem w górze jaśniała,
Królowa nieba, ta gwiazda biała.
Więc się do świętej zwróci Barbary:
— Cóż to za morze bez końca, miary?
A jakie czyste, jak się odbija,
Na jego wodzie śnieżna lilija,
I niebieściuchna, przejrzysta szata,
I wszystkie gwiazdy krolowej świata?

— One nie mogą siostro być inne,
Bo to są sierot łezki niewinne,
A spojrzyj na dno widzisz z pod spody.
Cierpiące wierne całe narody,
A każdy w takiej stoi sukience,
Jak na tem morzu i na panience. —

— Oj prawda, prawda — toć nasza wioska,
Zlituj się nad nią o Matko Boska! —

— A tam na skale, co się to bieli,
Niby to ludzie, niby anieli? —

— Cokolwiek widzisz z pod łez krynicy,
Wszystko to wierni lub męczennicy.

I święte panny dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tu wychodzi staruszek z brodą.
Szczęśliwa widząc jak z jego kija,
Lilja bieluchna listki rozwija,
Zaraz poznała i rzecze k' świętej
Jak człowiek żywą radością tknięty:
— A toć to Józef! — A Józef, prawi.
— Niechże mi on też pobłogosławi. —

A święty Józef zwraca się żwawo,
I rączkę nad nią wznosi łaskawą.
Za nim szedł Szymon i Jakób młodszy,
I Jan z Chrystusa uczni najsłodszy,
Uśmiechający, dziwnie spokojni,
A wszyscy jakby na gody strojni.
Idąc tak razem, na każdym kroku,
Witał ich nowy święty w obłoku,
Święty Mateusz i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele,
Każdy się świeci i każdy rusza,
Że aż patrzącej cieszy się dusza,
I wciąż radośnie szepce do siebie:
— Mój Boże drogi, toć to ja w niebie!

W świętej gromadce to i iść sporzej,
Jedna im droga do Matki Bożej,
Gwarząc ze sobą to to, to owo;
Każdego takie serdeczne słowo,
Że się wydaje, że dziecko służy
Więc się im owa droga nie dłuży. —

Na ziemi było już po zachodzie,
Bo ryk słyszała bydła przy wodzie.
I wiejskich owiec wesołe beki,
Które owczarek poił u rzeki,
I śpiew słowika, co w letnie noce
Na chwałę bożą wdzięcznie szczebioce.
Ciche wastchnienia na progach chatek,
I pacierz małych klęczących dziatek,
Kiedy do rajskiej weszły gospody,
Szczęśliwe dusze na wieczne gody. —

Wszyscy pokornie schylili głowy.
Ujrzawszy długi stół cyprysowy,
Na którym była królowa nasza
Robiona złotą rączką Łukasza;
A na tym stole cudnej roboty,
Płatkiem przykryty stał kielich złoty.

Gdy święci padli na rozmyślanie,
W niebie się wdzięczne rozległo granie,
Długo słuchając słodkiego dźwięku,
Wybrani pańscy na cichym klęku,
Ujrzeli światłość jak przybywała,
Jak wszystko w okół poprzenikała.
A kiedy sami w świetle stopnieli.
Uczuli postać idącą w bieli,
Która gdy cicho stanęła w progu,
Umarli świata powstali w Bogu.

---

# Najnowsze dzieła.

## Pan Stolnikowicz Wołyński

powieść Józefa Korzeniowskiego w dwóch tomach nakładem M, Wolffa wyszła w Petersburgu i Mohilewie.

Jest to tego autora pierwsza prawie tego rodzaju powieść; jest to bowiem, nie (jak sam autor skromnie przyznaje) powieść historyczna, ale obrazek historyczny tak wybornie skreślony, iż każdy jego niemal ustęp mógłby służyć za rozdział do obszerniejszej powieści historycznej. Zdaje się nawet że autor początkowie sam to zamyślał, Zarys bowiem ogólny jakkolwiek w niewygodną formę pamiętnikowego opowiadania wciśnięty, oczywiście zakrawa na obszerniejszą powieść. Lecz nagle i niespodzianie, urywa autor w samym środku, czyli raczej w samym początku żywota pana Stolnikowicza, i kończy fragmentem. Jest to szkoda niepospolita, bo ta mała cząstka większego obrazu, napisana jest z niepospolitą znajomością wszystkich szczegółów czasu jaki opisuje, i ze znajomym autora talentem, mogącego po tej próbie śmiało puszczać się na pole powieści historycznej. W tym obrazku oddane jest mianowicie, z wielkiem nieczytanem dotąd w żadnej powieści bogactwem najdrobniejszych szczegółów, domowe życie nasze w drugiej połowie wieku 18go. I to nie jednostajne, ale przedstawia nam autor, trzy domy polskie, z całem onych urządzeniem wewnętrznem, z ich dworami i obyczajami: dwór szlachcica zamożnego, dwór zamożniejszy dumniejszego półpanka i dom nareszcie magnata karmazynowego. Czytający z uwagą, znajdzie w tych opisach niewyczerpane źródło zebranych razem tych wszystkich rysów życia domowego w Polszcze, które szukać trzeba po stu różnych pamiętnikach. Stosunek rodziców do syna i tegoż nawzajem do nich, domowe pożycie, domowe obyczaje, rozmowy, układ domowego porządku, i służby dworskiej ze wszystkiemi jej odcieniami, oddane są w tej powieści najdoskonalej. Cała też piękność tego historycznego fragmentu spoczywa w szczegółach, bo treść onego która tu w krotkości podajemy, nie bogata w zdarzenia, wygląda na zbiór przedwstępnych rozdziałów do obszerniejszej powieści. Przejdźmy do treści.

Autor wyszedłszy ze szkół krzemienieckich, jedzie do przyjaciela i kolegi, pana Ludwika, zamożnego obywatela w okolicy Berdyczowa. Z nim razem przyjeżdża do Żytomierza i w czasie przechadzki nad Teterowem, zdybuje jakiegoś jegomości, śpiącego na ziemi. Twarz jego szlachetna i piękna choć stara już, w dziwnem jest przeciwieństwie ze strojem nadzwyczaj ubogim. Uderzony i rozciekawiony tą różnicą, autor kładzie rubelka na kapeluszu a sam siada na boku. Stary obdartus budzi się, postrzega rubelka i siedzącego, zrywa się, wymawia siedzącemu dosyć ostro nieproszoną jałmużnę i rubelka rzuciwszy w rzekę, z tęgą odchodzi miną. Taż sama prawie scena powtarza się nazajutrz, gdy obaj przyjaciele zdybują tegoż samego

biedaka w traktyerni. Ofiarowany przez nich obiad odrzuca z dumą i niechęcią i odchodzi. Biedakiem jak się w traktyerni dowiadują, jest p. Benedykt Olszański, Stolnikowicz Wołyński, dawniej bogaty pan, który niemało przez swe życie przetrwonił, a teraz zeszedł na ostatnią nędzę. Ta duma zwiastująca zarody pewnej szlachetności, połączona z nędzą, poruszają pana Ludwika, który nawet przypomina sobie, że jakieś go kuzynowstwo łączy z Olszańskiemi. Postanawia zatem ratować go. Przez traktiernika, który mu czasem kredytował, posyła mu kuferek z sukniami, i list z pieniędzmi, czule i od serca napisany, zapraszający go na wieś, na stałe mieszkanie. List ten przełamuje dumny upór podupadłego szlachcica; przychodzi do Ludwika i obu przyjaciołom dziękuje. Lecz już zaraz nazajutrz występuje jedna z przyczyn majątkowego upadku pana Stolnikowicza. Podpity należycie zaprasza obu przyjaciół na obiad, i traktuje p. Ludwika solennie za jego własne pieniądze. Spity należycie zasypia, i rankiem dopiero zbudzony, żałuje serdecznie i kornie modli się do najwyższego o opamiętanie. W rozmowie z Ludwikiem i jego przyjacielem, występuje charakter tego człowieka. Jest to walka silnej duszy z słabościami ciała, walka wywołana jakimś czynem haniebnym, którego się w własnem wstydzi sumieniu, walka lepszej przeszłości jego, pełnej najpiękniejszych pamiątek, z teraźniejszością, pokalaną wstydem i zepsuciem; walka nawet, jak ją autor zdaje się chcieć oddać, większą, bo w jednym człowieku uosobiona walka cnót naszej przeszłości, z zepsuciem, które zdaniem pewnej literackiej szkoły tę przeszłość zabiła. To zdanie, które już tylekroć podnieść mieliśmy sposobność, stało się prawdziwą manierą tej talentami niepospolitemi świetniejącej szkoły, i odzywa się wszędzie, przyłatane często niepotrzebnie do każdej powieści, opisującej zdarzenia ostatniej przeszłości naszej. Toż samo i w tej powieści. Stolnikowicz zniewolony serdecznem obejściem się przyjaciół, jedzie z niemi na wieś, i żyje w niej najporządniej. Dom pana Ludwika, jest jakby przedsień do starożytnych dworów, które nam autor ma dalej malować. Pan Ludwik bowiem zachował w nim święcie zabytki dawne, między któremi najpierwsze zajmuje miejsce dwoje gracyalistów: stara panna respektowa i stary strzelec. Obrazek to śliczny, ze wszystkiemi odcieniami misternie oddanemi. W takiem to otoczeniu Stolnikowicz zaczyna opowiadać dzieje swoje. i tu następują obrazek po obrazku z przeszłości naszego życia domowego, skreślone żywo i prawdziwie mistrzowskiem piórem. Opis najprzod rodziców pana Stolnikowicza. Ojciec, szlachcic w całem tego słowa znaczeniu, poczciwy i dobry w gruncie, ale chropowaty, narowisty i surowy po wierzchu. Matka, polskiej niewiasty ideał, pełnej serca, czułości i uległości. Dwór cały, z całą różnicą hajduka, pajuka, dworzanina, pokojowca i t. d.; wychowanie jedynaka surowe ze strony ojca, miękkie ze strony matki, przytem tęgie i męskie, wszystko to, czysta prawda szlachecka! Mianowicie powrót syna ze szkół, i jego rozmowa z ojcem a poźniej odwiedziny Podczaszego kijowskiego Czaplica z rodziną, jego przyjęcie w domu stolnika, rozmowy obu szlachciców, mieszające prywatę z publiką, oddane są z uderzającą prawdą szczegółów. Stolnikowicz który zajrzał podczaszankę w drodze, rozkochał się w niej na piękne, i jak się zdaje, a nawet póżniej jasno pokazuje się podobał, się jej nawzajem. Następuje opis festynu i imienin w domu pana Podczaszego. Szczegóły zjazdów, witania, poloneza przedobiedniego, pijatyki obiadowej z całym zbytkiem wiwatów i szlacheckich konceptów, odmalowane z całą prawdą życia. Stolnikowicz coraz więcej zakochany, wyjeżdża z miłem przekonaniem że mu panna sprzyja, ale zarazem przestraszony bo na tym festynie poznał rywala swego p. Jana Brzeskiego Łowczyca Trembowelskiego, gładkiego i udolnego młodzieńca, który posagiem podczaszanki chciałby załatać własny podszargany majątek. Przychodzi dalej w ciągu powiastki epizod nowy: Kontrakty Dubieńskie. Jeden z najpiękniejszych to ustępów, bo już szerzej nieco poza obręby życia domowego zakreślony. Występuje już nasze życie zbiorowe, na w pół publiczne, pełne hałasu, pijatyki, dumnej buty, połączonej z konieczną popularnością dla skarbienia sobie sejmikowych klientów, pełne nareszcie tej oligarchicznej fantazyi, która się czyta z upodobaniem, za którą nawet że dzisiaj wielu wzdycha, dziwić się niepotrzeba, bo to nie głupi wymyślił, żyć sobie tak po świątecznemu całe życie; ale z której czy mogło, i czy w rzeczy samej wypłynęło co pożytecznego dla ogółu, niech nam będzie wolno powątpiewać. Na kontraktach wprowadza już autor znakomitsze, na pół historyczne owego czasu figury, między któremi główną odgrywają rolę oba spekulanci jak ich słusznie autor nazywa: jeden xiąże podskarbi Poniński, drugi Prot Potocki; tylko że pierwszy okpiwał szlachtę i tumanił zbytkiem i popularnością, aby za wypożyczane u nich kapitaliki prowadzić życie szalenie rozrzutne; drugi zaś połączywszy się z domami bankierskiemi spekuluje nieszczęśliwie, ale bez zdrady, do czego przyłożyły się także jak to wiadomo, i krajowe zdarzenia. Obie te figury Stolnikowicz przedstawia naturalnie, jako wyroby już nowszej cywilizacyi, która oczywiście i koniecznie zabić nas musiała! Na tych kontraktach dowiaduje się stolnikowicz, że podczasanka z rodzicami jedzie do Warszawy, gdzie na nich już czeka Łowczyc Brzeski, którego wszakże panna nie cierpi, a przeciwnie Stolnikowiczowi najserdeczniej sprzyja. Lecz Stolnikowicz za młody, by mógł wystąpić jako starający się, musi więc czekać i opatrzności oddać swoją sprawę miłosną. (D. n.)

---

## Rozmaitość.

* Spór o przedruk Słownika Lindego toczy się dalej w dziennikach warszawskich. Nieomieszkamy podać czytelnikom naszym i zdań za przedrukiem. Dotknął tej kwestyi korespondent Czasu lecz argument który za przedrukiem przytoczył nie jest jeden z najmocniejszych. Najsłabszym a najważniejszym zarzutem Bartoszewicza est iż język od czasów Lindego mocno się rozwinął. Wszakże z tego powodu zapowiedział zakład Ossolińskich tom dodatkowy, który zapewnie i w dwa i w trzy tomy urośnie skoro materyałów się więcej zbierze. Zarzut zaś iż dla wygody czytelnika należało te dodatki włożyć w sam text, jest tak błahy, iż do zbicia go niepotrzeba długich wywodów. Zresztą choćby był sprawiedliwy, wzgląd nań upada w obec ważniejszych powodów. Lepiej że naród już teraz będzie miał przedruk Lindego i osobne dodatki, niż dla wygody czytelnika, aby dwa razy jednego wyrazu szukaniem się nie trudził, w niepewną przyszłość odwleczonem zostało wydanie uzupełnionego w texcie słownika,

* W gazecie lwowskiej czytaliśmy już po kilkakroć w tym roku doniesienia o rozdaniu stypendiów ubogiej młodzieży: przy każdym młodzieńcu wymienione są powody, dla których otrzymuje stypendium. Już sama jawność w postępowaniu jest rękojmią sprawiedliwości. Czytając zaś powody, w każdym powstać musi to przekonanie, iż tylko prawdziwie potrzebni i dobrze się uczący otrzymali to stypendyum. O ile takie przekonanie iż do uzyskania stypendyów nie protekcya i względy lecz jedynie dobry postęp w naukach wiedzie, na ubogą kształcącą się młodzież oddziałuje, nie potrzeba się nad tem rozwodzić. Ale oddziałuje również i na pomnożenie fundacyj. Energia z jaką Jego Excellencya hr. Namiestnik przywiódł szybko do skutku wejście w życie fundacyi ś. p. Zalchockiego i rozdawanie tych stypendyów jawne nader sprawiedliwe zdziałały, iż słyszymy o dwóch nowo przygotowujących się podobnych dosyć znacznych zapisach.

* **Nsbób indyjski.** Książę indyjski Maharadsza Murrender Sing Machinder Bahadon z Puttiali przybył w tym miesiącu do Europy, gdzie u rozmaitych bankierów kredyt na 12 milionów ma wyrobiony. Wylądował najpierw w Bordeaux. Nie wysiadł w hotelu lecz kupił sobie dom który w najdziwaczniejszy sposób kazał sobie przyrządzić. Pokoje są próżne a meble wszystkie wiszą u sufitu. Gdy mu sofy lub krzesła potrzeba, wtedy za pomocą bardzo zmyślnej maszyneryi spuszcza je na posadzkę. Niedawno temu padał deszcz ulewny. Książę widząc, jak Francuzi mokną w kapeluszach idący, pojechał do czapkarza, nakupił cały wóz czapek nieprzepuszczających wody, siadł na wóz i jeździł po wszystkich ulicach rozrzucając pomiędzy przechodzących swe czapki.

* **Z pod Lanckorony** dnia 20. Grudnia. W nocy z 16. na 17. b. m. wydarzył się w gminie Trzebonia w państwie Lanckorona w majętności księcia Montléarta rzadki w tej okolicy wypadek. Jeden z właścicieli gruntowych tamecznych przyszedłszy do swego bliskiego sąsiada prosił go o nocleg, podając za pozór że się z żoną poróżnił i więcej z nią żyć nie może. Proszony nie przewidując złośliwych zamiarów sąsiada, zezwolił na jego żądanie, a po wieczerzy do której zaprosić go nie omieszkał, położyli się spać. Po północy wstał ów pozorny gość, i siekierą gospodarza którą zapewne z wieczora zauważył, zamordował, rąbiąc jak w jatce oboje gospodarzy z czworgiem dzieci, z których najmłodsze sześciomiesięczne niemowlę. Siedmioletnie pacholę, syn nieszczęśliwych, które przed nadejściem tak okropnego gościa już za piecem spało, a którego zapewne morderca niewidział, ocalało w swem ukryciu, przypatrując się przy świetle księżyca w cichości tej okropnej scenie. Gdy jednak zbrodniarz, zabrawszy odzienie i inne rzeczy z pomordowanych dla pokrycia swego czynu budynek podpalił, zrobił ów chłopczyna krzyk i wybiegłszy oknem z izby wołał ratunku. To spostrzegłszy zbrodniarz, pospieszył za nim i zadał mu cios tą samą siekierą w głowę, którym chłopczynę o ziemię powalił, i odszedł z swą zdobyczą. Krzyk chłopca wywołał przecież śpiących sąsiadów, którym udało się zamordowanych z płomieni wyratować, a gdy od skaleczonego wywiedzieli się o całem tem okropnem zdarzeniu, posłano natychmiast w pogoń za zbrodniarzem którego u jednego z towarzyszy kradzieży, przy rozbieraniu jednej z skradzionych u zamordowanego owiec pochwycono i pojmano. Przyprowadzony na miejsce popełnionej zbrodni, obaczywszy ofiary jej, padł trupem. Dziś właśnie nadjechała komisya lekarska do obdukowania mordercy i pomordowanych. Dalsze szczegóły później doniosę.

* W inseratach Nowin było ogłoszenie Zakładu szczególniejszego rodzaju, zajmującego się wyszukiwaniem mężów i żon. Otóż jeden z kawalerów lwowskich szukający żony, zapisawszy się do tego zakładu, kazał fotografować swój portret i to w dwojakiem ubraniu: bez wąsów i z wąsami: Naturalna rzecz iż wąsy przyprawiał sobie, gdy go fotografowano. Zapytany dla czego to czyni odpowiedział: „Ha trzeba zastosować się do gustu panny, której pokażą mój portret Nie podobam się jej bez wąsów, to może z wąsami większe na nią, zrobię wrażenie.” — I posłał obiedwie fotografie do Bernu w Szwajcaryi.

---

Znaczenie poprzedniej szarady: **Kanapa.**

**Szarady** przez P.

1. Za moje drugie i trzecie,  
Jest kara na tym i na tamtym świecie,  
A z pierwszym drugie i trzecie,  
Nam wszystkim pożądane przecie.

2. Pierwsze jest rzeka, drugich u gospody,  
Szukaj a ujrzysz że strzegą zagrody,  
Wszystko bardzo pożądane,  
Kto pragnie widzieć osoby kochane.

3. Pierwsze litera a drugie i trzecie,  
Pożytek robi w czasie urodzajn,  
Wszystko jest piękne kiedy pokój w kraju,  
Ale gdy wojna to jest straszne przecie.

4. Gdy jesteś pierwszą wraz z trzecią  
Bądź sobie — jak możesz,  
Lecz gdy do tamtych — i drugie przyłączysz  
Poszli po Księdza — bo może źle skończysz

5. Me pierwsze milczeć każe —  
Drugie — robić rany  
Trzecie sylaba — Wszystko gdzie się ukaże  
Robi postrach niesłychany

6. Czy jesteś panią czy sługą,  
Niebądź mą pierwszą i drugą,  
Gdyż nie będzie nigdy zgody,  
Mogę za to ręczyć wprzódy,  
Trzecia, czwarta z piątą razem.  
Rzecz w rozmaitym względzie pod jednym wyrazem,  
Wszystko nazwisko bardzo miłej damy,  
Którą z zalet, grzeczności wszyscy dobrze znamy.

---

**Przyjechali** od dnia 22. do 25. Grudnia do Lwowa.

PP. Kalinowski Władysław, hr. z Bakowca. Onyszkiewicz Fortunat, z Borysowa. Skolimowski Julian, z Dynisk. Dwernicki Andrzej, z Topolnicy. Górski Maciej, z Koszyc. Ustrzycki Włodzimierz, z Dobkowic. Rubczyński Władysław, z Popowiec. Puzyna Józef, ze Słobudki polnej. Zahajkiewicz Józef, ze Stryja. Drohojowski Eustachy, z Łukawicy. Smarzewski Seweryn, z Hankowic.

PP. Romaszkan Zygmunt, z Uherska. Golejowski Tadeusz hr., z Sapakowa. Papara Henryk, z Znbowych mostów. Urbański Felix, z Iskrzyni. Kozaryn Ignacy, z Uliczka. Winnicki Tytus, z Liska. Grochowski Felix, ze Stronibab. Remer Erazm, ze Złoczowa.

PP. Zminkowski Karol, z Sambora. Ciepielowski Dyonizy. z Sambora. Passowski Bazyli, z Tirlejowa. Janiszewski Juliusz, ze Stryja.

PP. Alkasz Eugeniusz, z Czerniowiec.

**Wyjechali** od dnia 20. do 21. Grudnia ze Lwowa:

PP. Karnicki Feliks, hr. do Rogużna. Hagen Gustaw, br. do Janowa. Poten Fryderyk, do Łachodowa. Torosiewicz Michał i Maurycy, do Ostrowa. Vivien Wincenty, do Wysocka. Zabielski Józef, hr. do Gai. Bogdanowicz Marcel, do Laszek. Morawski Franciszek, do Czerniowic. Torosiewicz Emil, do Szwejkowa. Stopczyński Mikołaj, do Tarnopola. Niezabitowski Napoleon, do Nakła. Wiśniewski Tadeusz, do Sulimowa. Majerski Stanisław, do Brzeżan.

PP. Łodyński Hieronim, do Milatyna. Eminowicz Kajetan, do Smerekowa. Smarzewski Seweryn, do Hankowic. Kruszyński Henryk, do Dąbrowicy. Barański Karol, do Chłopczyc. Barański Michał, do Radłowic. Sozański Celestyn, do Błazowa. Hoszowski Nereusz, do Żurawna.

PP. Papara Henryk, do Zubowych mostów. Winnicki Tytus, do Liska. Malczewski Juliusz, do Skwarzawy.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 23 b. m. o g. 2. po połud.**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Amsterdam . . . . . | 106 | Medyolan za 300 lirów . | 125 |
| Augsburg za 100 złr. . | $127\frac{3}{4}$ | Paryż za 300 franków . | $148\frac{3}{8}$ |
| Bukareszt . . . . . | — | Agio duk. ces. . . . . . | — |
| Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . . . | $126\frac{1}{2}$ | Srebra agio . . . . . . | — |
| | | Pożyczka 5% 83 $4\frac{1}{2}$ | $71\frac{3}{8}$ |
| Genua. . . . . . . | — | Pożyczka lit. B. . . . . | — |
| Hamburg za 100 tal. banco | $93\frac{3}{4}$ | Akcye banku . . . . . | — |
| Konstantynopol . . . . . | — | Kolej północna . . . . . | — |
| Liwurno . . . . . . . | — | Obl. ind. . . . . . . . | $73\frac{1}{2}$ |
| Londyn za 1 funt szterl., | 12 21 | Nowa pożyczka z loteryą | $98\frac{9}{16}$ |
| Marsylia . . . . . . . | — | Pożyczka narodowa . . | $86\frac{1}{4}$ |

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

| | | Gotówką | | | | towarem | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Dukat holenderski . . . . . . . . . | złr. | 5 | kr. | 54 | złr. | 5 | kr. | 58 |
| Dukat cesarski . . . . . . . . . . | « | 5 | » | 58 | » | 6 | « | 2 |
| Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . . | « | 10 | « | 13 | » | 10 | « | 15 |
| Rubel srebrny rosyjski . . . . . . . | » | 1 | « | 59 | « | 2 | » | — |
| Talar pruski . . . . . . . . . . . | » | 1 | « | 54 | » | 1 | « | 56 |
| Polski kurant i pięciozłotówka . . . . | » | 1 | « | 26 | » | 1 | « | 27 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu | » | 89 | « | 30 | » | 90 | « | — |

Obligacye. indemnizacyjne 74 30 do 75 złr. — kr.



Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**